Trzy wspomnienia o Miłoszu



Czesław Miłosz podczas spotkania w Toronto, fot. Marek Śmieja

Florian Śmieja

(Mississauga, Kanada)

Dramatyczny krok Miłosza, by zerwać z PRL-em i pozostać na

Zachodzie zbulwersował świat. Podzielił też emigrację polską. Toteż w roku 1957, kiedy grupa młodych pisarzy skupionych wokół miesięcznika „Merkuriusz Polski” w Londynie, zaprosiła poetę do siebie, emigracyjna starszyzna wrogo doń ustosunkowana, oczekiwała jego przyjazdu jedynie w postaci petenta do Canossy. Lecz my, bardziej tolerancyjni czy naiwni, a przede wszystkim, bez osobistych porachunków, chcieliśmy go przywitać na wieczorze autorskim, a korzystając z dostępnego nam na imprezy kulturalne gmachu Instytutu gen. Władysława Sikorskiego, urządziliśmy wieczór w efektownej Sali Sztandarowej z przechowywaną tam flagą, która powiewała nad klasztorem na Monte Cassino i spoczywającym w gablotce mundurem Władysława Sikorskiego.

To wystawne przyjęcie nie spodobało się krytykom Miłosza z Zygmuntem Nowakowskim na czele. Swoje wielkie niezadowolenie wnet wyraził w felietonie w „Dzienniku Polskim”*(przyp. 1)* wołając by ten lokal, w którym wystąpił gość, wykadzić. Zaprotestowaliśmy jako organizatorzy spotkania i wzięliśmy w obronę naszego gościa. Będąc redaktorem naczelnym „Merkuriusza Polskiego” napisałem list do gazety, by napiętnować „niewybredną napaść na osobę prelegenta”. Ciągnąłem dalej:

> Uważamy, że pan Zygmunt Nowakowski nie ma prawa

> rozstrzygać, czy Miłosz jest osobą do przyjęcia przez emigrację, tak jak nie ma podstaw do piętnowania go. Ośrodki kulturalne służą całej społeczności polskiej i źle by się stało, gdyby miały się one kierować listą proskrypcyjną. Dlatego jesteśmy pełni uznania dla kierownictwa Instytutu gen. Sikorskiego stosującego kryteria zachodnioeuropejskie… Dylemat młodego Polaka na emigracji zwięźle ilustruje dwuwiersz Miłosza:
>
> „Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
> Za sobą mury polskie Ciemnogrodu” *(przyp 2).*
>
> Najnowsze wystąpienie p. Nowakowskiego utwierdza nas w przekonaniu, że jest on jednym z filarów tego ostatniego *(przyp.3).*

Tę swoją wypowiedź, choć utrzymaną w wątpliwym tonie, „Dziennik Polski”, którego Zygmunt Nowakowski był współdyrektorem, zamieścił 14 października 1957 roku. Oprócz tego w naszym miesięczniku napisaliśmy o Nowakowskim:

> Odmawiamy mu prawa do wyrokowania, czy zaproszony przez nas wybitny poeta polski Czesław Miłosz mógł przemawiać „pod sztandarami” w Instytucie im. gen Sikorskiego. Odmawiamy mu prawa do nazywania Stefana

> Kisielewskiego i Jerzego Zawieyskiego „wysłannikami reżymu” *(przyp.4)*.

Dodam, że w owym czasie Zygmunt Nowakowski nie był bynajmniej jedynym pisarzem, który takich dosadnych określeń niefrasobliwie używał.

Miłosz nie zraził się dezaprobatą „nieprzejednanych” emigrantów. Siedem lat później, 26 czerwca 1963, w tej samej Sali Sztandarowej Instytutu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie pojawił się ponownie pod naszą egidą. Zaprosiłem go już jako profesora dostojnego uniwersytetu kalifornijskiego w Berkeley, tym razem jako redaktor naczelny miesięcznika o zmienionym tytule „Kontynenty” *(przyp. 5).* To na tym spotkaniu Miłosz m.in. odczytał „Pozycje”. Tekst był wydrukowany następnie w „Kontynentach” we wrześniu 1963 *(przyp. 6)*, a niektóre tezy nas frapowały. Gość powiedział nam m.in.

> Pisanie i publikowanie poza krajem własnego języka nie jest żadnym odrębnym problemem, skoro się zważy, że trudność porozumienia upowszechnia się i staje się czymś niemal normalnym.

A także:

> Szczegół kraju, w którym się mieszka, obłok, twarz, muszla na plaży, powinien wystarczać do rozgrywania własnej, zasadniczej stawki *(przyp. 7).*

Przywitałem wtedy admirowanego gościa słowami, które się dziwnym trafem zachowały na pożółkłej kartce, a które z uwagi na autentyczność przytoczę.

> Z szeregu wieczorów autorskich, które urządziliśmy w tej sali, zapamiętałem poprzedni wieczór naszego gościa, jakieś sześć czy siedem lat temu. Byliśmy dumni, że mogliśmy go przedstawić po raz pierwszy londyńskim miłośnikom poezji. Podobne uczucia nurtują mnie i dziś, kiedy znowu mamy zaszczyt powitać poetę w naszych progach.
>
> Nie muszę podkreślać chyba rzeczy oczywistej, że Czesław Miłosz od dawna jest z nami w kontakcie. Dzisiejszy wieczór potwierdza jego przychylność, jak świadczyła o niej wypowiedź drukowana w naszym piśmie kilka miesięcy temu, w której nie szczędzi nam zresztą uwag krytycznych *(przyp. 8).* Poeta dał dowód zainteresowania naszymi poczynaniami. Pomawiał nas wprawdzie o to, że tytuł pisma

przywłaszczyliśmy sobie bezprawnie z jego książki. Ale to jest jego prywatna wersja. Naszym zdaniem, to on właśnie nazwał jedną z książek na cześć świetnego pisma — a taki epitet wyczytałem właśnie w „Dzienniku Polskim”, naszej londyńskiej wyroczni — na cześć „Kontynentów”. To że Miłosz uczynił to o rok wcześniej od ukazania się pierwszego numeru naszego miesięcznika, świadczy o jego znakomitej intuicji poetyckiej. W jego korespondencji wreszcie znajdujemy ślady żywego śledzenia tego wszystkiego, co się w naszym środowisku dzieje.

Jesteśmy mu za to wdzięczni, rzecz jasna, a od siebie możemy go zapewnić o wysokim uznaniu dla jego pisarstwa. Niedawno Gość nasz ukończył pięćdziesiąt lat i mówiący te słowa przemyśliwał o stosownym uczczeniu tego jubileuszu. Niestety, skończyło się na słowiańskim dumaniu… A Miłosz, zaiste, zasługuje z wszech miar na uczczenie. Złożylibyśmy w ten sposób hołd człowiekowi o naprawdę imponującym dokonaniu. Przypomnijmy sobie jego dorobek.

Tyle się mówi — i zapewne nie bez racji — o ciężkiej doli emigracyjnego pisarza. O ile sytuacja materialna przedstawia się źle, o wiele smutniejsza jest sytuacja psychiczna. Otaczają nas milczące pióra. Stare talenty jakby wygasły. Obiecujący pisarze dają nam najczęściej utwory marginesowe. Na tle tych długich siedmiu lat chudych,

Miłosz rysuje się odrębnie. Zadaje kłam tezie, jakoby poza granicami Polski nie można było tworzyć intensywnie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Czesław Miłosz wydał dziewięć tomów poezji i prozy oraz pięć tomów przekładów i opracowań. Są to pozycje poważne, niektóre przełożono na wiele języków. Jeżeli dodać do powyższej listy eseje i przekłady na język polski a także na język angielski, otrzymamy imponujący obraz dokonania.

Krytycy, a także wprowadzający, jak ja dzisiaj, niepoprawnie sięgają po jakiś cytat, jakąś myśl, która jakby „in nuce" charakteryzuje osobę, o której mówią, która ukazuje jej poetycką sylwetkę. Jest to proceder nieco ryzykowny lecz wielce pomocny i zrozumiały. Kiedy wertowałem najnowszy tom wierszy naszego dzisiejszego Gościa „Król Popiel" *(przyp. 9)* z 1962 roku, znalazłem w nim na ostatku poemat o Ameryce, bliżej, o Kalifornii. Poemat zresztą na wskroś przeszyty krajobrazem polskim, wsią litewską, utwór miły mojemu sercu za reminiscencje historyczne, za ślady odysei Alvara Nuñeza Cabeza de Vaca i heroicznie sprawnego w rzeczach świeckich franciszkanina ojca Junipery Serra, któremu Kalifornia zawdzięcza tyle pięknych nazw miejscowości jak: Los Angeles, San Francisco, Santa Barbara czy San Juan.

W tym to poemacie znajduje się czterowiersz, który kojarzy

w moim umyśle dwa wydawać by się mogło, wrogie obozy, dwa krańcowo różne źródła natchnienia poetyckiego. Poeta dostrzega piękno obu światów i przy dokładniejszym spojrzeniu piękno to jest wcale podobne. Piękno świata, o którym współcześni wolą mówić z przekąsem i udałość nowego, tak nieludzkiego dla tradycjonalistów. W tym fragmencie widzimy nie tylko możliwości nowej poezji, jest on, wydaje mi się, charakterystyczny dla poezji Miłosza, tej arki przymierza, by posłużyć się utartym określeniem, pomiędzy żywotnymi elementami poezji przedwojennej a odkrywczymi cechami liryki współczesnej. Można by już cytat poprzedzić wersami początku członu dziesiątego:

„Nad jego grobem Mozarta zagrali
Bo nic nie mieli co by ich dzielił
Od żółtej gliny, chmur, nadgniłych dalii
A pod za dużym niebem za cicho im było.”

Nieco dalej następuje czterowiersz, o który mi chodzi:

„Brzmiał Mozart, z pudru peruk odwinięty,
I babim latem unosił się długo,
Niknąc nad głową, w tej pustce którędy
Szedł odrzutowiec z cienką białą smugą.” *(przyp.10)*

Kilka tygodni po spotkaniu, w liście z podparyskiej miejscowości Montgeron datowanym 9 lipca 1963 roku Miłosz napisał m.in. „Chcę podziękować gorąco za miłe przyjęcie w Londynie i za Pana wstęp do mojego wieczoru autorskiego traktujący mnie niemal jak jubilata”… Myślę, że od tamtego czasu Poeta miał bardzo wiele okazji, by się do takiego traktowania przyzwyczaić.

W Kanadzie na jesieni 1980 roku zorganizowano naukową dyskusję na temat polskości pojmowanej w Ameryce Północnej tj. w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie *(przyp 11)*. Zaproszono do niej również Miłosza. Z euforią organizatorzy stwierdzili, że Toronto wydało się Miłoszowi atrakcyjne i chętnie przyjął zaproszenie. A tu nagle gruchnęła na cały świat wiadomość, że w tym roku Nagroda Nobla z literatury przypadła mieszkającemu w Stanach Zjednoczonych imigrantowi z Polski, Czesławowi Miłoszowi. Wtajemniczeni członkowie panelu, w skład których wchodził Bogdan Czaykowski z Uniwersytetu Brytyjskiej Kolumbii i ja, z University of Western Ontario w London, przyklasnęliśmy sensacyjnej wiadomości. Ale jednocześnie pojawiły się obawy i wątpliwości, czy w nowej sytuacji zaproszony do nas poeta się zjawi na dyskusji zorganizowanej przez mało znaną organizację w Toronto. A jednak Miłosz zdecydował się przylecieć, bo oprócz wystąpienia pod polską egidą, miał zaproszenie kanadyjskie do wystąpienia w ramach

odczytów na Harbour Front. Od 1974 roku organizacja Autorzy w Centrum na Harbourfront odgrywa ważną rolę w kulturalnym życiu Kanady starając się pokazać Kanadyjczykom najciekawszych na świecie powieściopisarzy, eseistów i poetów.

W dyskusji o polskości wnet wyłonił się mizerny obraz amerykańskiej Polonii, zasiedziałej wprawdzie i licznej, ale kulturalnie wydziedziczonej, w pewnym sensie bezdomnej. Mało znającej i nieświadomej swego dziedzictwa i dlatego upośledzonej. Ta mała świadomość powoduje brak dumy z pochodzenia i kompleks niższości, w końcu zasklepianie się, ucieczkę w rodzinne i parafialne obchody i tradycje, kontentowanie się prymitywnymi tańcami i ludową muzyką, co odstręcza młodych ludzi.

Miłosz nieswojo się poczuł w takiej atmosferze, wychowany w wyższej kulturze Polski i obracający się w Stanach Zjednoczonych w kręgach akademickich. Aczkolwiek zapewniał, że nie chodzi mu o deprecjonowanie wartości obecnych tak samo u ludzi mniej wykształconych, ale o zasadnicze trudności z pokonaniem dystansu między nimi. Jak może pomóc? Jak sprawi, by go rozumiano, rozumiano jego poezję i pisarstwo? Może okazał się praktyczniejszy pisząc historię literatury, bo dał ludziom poznać wartości ich dziedzictwa?

Uznał więc wraz z innymi naglącą potrzebę, by feralne milczenie

polskiej diaspory, tragiczne doświadczenie pokoleń na emigracji artystycznie wyrazić, wyartykułować, uwydatnić niewiarygodny świat cierpienia i ofiarności. Zerwać z dotychczasowym milczeniem. Nie tylko tłumaczyć, że znaleźli oni ucieczkę i pociechę w drobnych familijnych nawykach i przywiązaniach.



Czesław Miłosz (w środku) wraz z Florianem Śmieją i Zofią Poniatowską-Śmieja, fot. Marek Śmieja

Następnego dnia w Trinity College czytał nam przekłady Pisma św. na język polski. Była też okazja do zrobienia pamiątkowych fotografii. Skorzystał z tego mój syn, Marek, któremu udało się zrobić kilka zdjęć poety a także sfotografować moją żonę i mnie z Miłoszem. (Ta fotografia narobiła dużo wesołości później w

Polsce. Moja bratanica chodziła do szkoły powszechnej w podmiejskim Zabrzu. Na lekcjach polskiego nauczycielka z wielkim przejęciem opowiadała o znakomitym poecie Miłoszu. Widząc jakieś rozluźnienie zachowania mojej bratanicy spytała ją, czy dobrze zapamiętała nazwisko wielkiego poety? Na to ona odpowiedziała, że owszem i że jej stryj ma z nim fotografię. Pysznie niosła zdumionej nauczycielce następnego dnia fotografię z Toronto).

Na Harbourfront liczne audytorium kanadyjskie entuzjastycznie witało nie tylko wybornego poetę i pisarza, ale także świeżo upieczonego Noblistę.

ARCHIWUM EMIGRACJI
Studia – Szkice – Dokumenty
Toruń, Rok 2011, Zeszyt 1–2 (14–15)

Przypisy: [Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji „Archiwum Emigracji”]

1. Z. Nowakowski, Miłosz pod sztandarami, Dziennik Polski 3.10.1957, s. 2.
2. Cz. Miłosz, Na śmierć Tadeusza Borowskiego z tomu Światło dzienne (Paryż 1953).
3. F. Śmieja, Głos organizatorów wieczoru w Instytucie, Dziennik Polski, 14.10.1957, s. 2.

4. Merkuriusz Polski – Życie Akademickie, 1957 nr 10/11(90/91), s. 22.
5. Pierwszy numer „Kontynentów” ukazał się w styczniu 1959 r.
6. Cz. Miłosz, Pozycje, Kontynenty 1963 nr 57, s. 1.
7. Tamże.
8. Cz. Miłosz, Kilka żądań, Kontynenty 1962 nr 45, s. 1–3.

9. Cz. Miłosz, Po ziemi naszej, [w:] tegoż, Król Popiel i inne wiersze, Paryż 1962.
10. Tamże, s. 52.

11. Międzynarodowa konferencja naukowa na temat „Polacy w Północnej Ameryce” odbyła się w dniach 23–25 października 1980 r. na University of Toronto; zob.: Kronika kanadyjska, Kultura 1980 nr 11(389), s. 139.

Magazyn „Culture Avenue” powstał dla prof. Floriana Śmieji z Kanady. Profesor, wybitny tłumacz i iberysta, doktor honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu, nagrodzony Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej przez króla Hiszpanii Filipa VI, a także pisarz i nestor poetów emigracyjnych – był moim mentorem, redaktorem i przyjacielem. Rok temu, 4 września odszedł, nie powstaną więc już ciekawe teksty o pisarzach i kulturze polskiej na emigracji. Wtorki były dniem

profesora, wtedy ukazywały się jego artykuły, lub wiersze. Napisał kiedyś wiersz:

CO NA PORTALU?
Ciekawi mnie, co dziś na komputerze
znajdę, bo wtorek jest zazwyczaj moim
dniem na portalu od kilku sezonów.
Dzisiaj jest Rawicz, polski ojciec fake news
który przed laty nabrał czytelników
całego świata jeszcze przed Donaldem
dołączył do bajarzy orientalnych
autorów tysiąca i jednej nocy.
Plótł banialuki, ale demaskował.

Dla artykułu „Trzy wspomnienia o Miłoszu”, opublikowanym przez „Archiwum Emigracji” w 2011 r., uzyskał zgodę na przedruk, jeszcze za swojego życia. Tak więc kochany Panie Profesorze, dziś znów jest wtorek i nic sie nie zmienilo, jak zwykle Pana dzień.

Dla przypomnienia, profesor sam o sobie podczas laudacji z okazji wręczenia doktoratu honoris causa w 2015 r:

> Ze Śląska w świat literatury i nauki. Prof. Florian Śmieja (1925-2019) o sobie.

Poeta i emigrant o wojennej przeszłości – Wojciech Gniadczyński



Wojciech Gniadczyński, fot. arch. Floriana Śmieji

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Mój kanadyjski znajomy Richard Newman napisał biografię Almy Rosé, zmarłej w Auschwitz austriackiej skrzypaczki, dyrygentki żeńskiej orkiestry obozowej. Pracował nad książką rzetelnie i długo. W czasie tego procesu wspomniałem mu o moim przyjacielu ze studiów Wojciechu Gniatczyńskim (1924–1985), który być może uratował życie, grając w zespołach obozowych w Auschwitz i Dachau. Pokazałem mu też jeden z obozowych wierszy Gniatczyńskiego, który w moim przekładzie na angielski Newman zacytował w swojej książce. Ta ukazała się dopiero w 2000 roku jako „Alma Rosé: Vienna to Auschwitz” i

jest tłumaczona na inne języki, m.in. na język hebrajski. Ciekaw jestem, czy zachowano go również w przekładzie tej książki na hebrajski?

W 1947 roku po demobilizacji w Anglii pojechałem na studia do irlandzkiego miasta Cork, w grupie polskich studentów, wybranych przez katolicką organizację Veritas z Londynu, spotkałem Wojciecha Gniatczyńskiego. Był to wysoki, przystojny brunet, raczej nieśmiały, który zapisał się na pierwszy rok humanistyki, studiując nowożytne filologie i historię. Chodziliśmy wspólnie na wykłady i mieszkaliśmy w polskiej bursie. Nie wiedziałem prawie nic o jego przeżyciach wojennych, a on niewiele na ten temat mówił.

Od początku nabrałem do niego sympatii i respektu. Odczuwalna była jego dobra kindersztuba, ale nad zdrowiem ciążyły lata życia w obozie koncentracyjnym. Dyrektor Radia Wolna Europa Jan Nowak dorzucił po zgonie swojego wieloletniego współpracownika kilka szczegółów, które zacytuję:

W czasie II wojny światowej był uczniem tajnego gimnazjum w okupowanej Warszawie, gdzie aresztowany został przez Niemców wraz z całą rodziną: matką, babką, bratem i wujem… Aresztowanie było przypadkowe… rodzina została wywieziona do Oświęcimia. A ponieważ okazało się, że aresztowana babka była rodowitą Niemką, więc zaofiarowano wszystkim zwolnienie, jeśli

zgodzą się podpisać volkslistę. Solidarna odmowa całej rodziny miała skutki tragiczne. Babkę, matkę i brata posłano do komory gazowej. Wojtek został sierotą. Do końca życia przechowywał pożegnalny list matki, napisany przed egzekucją.

W 1950 roku po ukończeniu licencjatu w Irlandii obaj wróciliśmy do Londynu. Ja dostałem paroletni lektorat w Szkole Nauk Słowiańskich, Wojtek miał trudności ze znalezieniem pracy, bo były to czasy, kiedy cudzoziemiec-humanista nie znajdował na Wyspach Brytyjskich posady. Zatrudniło go polskie wydawnictwo Veritas, które publikowało w Londynie tygodnik „Gazeta Niedzielna" oraz miesięcznik „Życie". Dla zdemobilizowanych kombatantów zaczęto tam także drukować polskie książki. Gniatczyński zamieszkał w Londynie w tzw. kahale, we wspólnym mieszkaniu z Januszem Jasieńczykiem (Poray-Biernackim) i Olgą Żeromską. Był to jednak okres biedowania i nikłych możliwości. Lepsze finansowo czasy miały dopiero nastąpić, kiedy zaproponowano mu wyjazd do Radia Wolna Europa do Monachium. Tam, ożeniwszy się i doczekawszy po latach narodzin córki Magdaleny, pracował do śmierci.

Już przed wyjazdem do Niemiec Wojtek zaczął brać udział w kiełkującym w Londynie literackim życiu młodych. Przychodził na spotkania Koła Polonistów funkcjonującym przy Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie, a będącym pod opieką

Józefa Bujnowskiego. Zaczął udzielać się w ankietach i polemikach ogłaszanych w „Życiu Akademickim”, zabrał głos na temat nieporozumień między pokoleniami na emigracji, fascynował go język polski, zaczął przekładać poezję i prozę świata anglosaskiego. W 1954 roku został nagrodzony za rokującą nadzieje prozę na konkursie młodych zorganizowanym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. W tym samym roku debiutował tomikiem wierszy Próby. Książkę ładnie wydało Polskie Towarzystwo Literackie, wydawnictwo zorganizowane przez Józefa Bujnowskiego.

Z Wojtkiem łamałem w drukarni Veritasu studenckie pismo „Życie Akademickie” i spotykałem się w kawiarni Dakowskiego na South Kensington z popularnym w tym czasie komediopisarzem Napoleonem Sądkiem i świeżo przybyłym z Polski Ferdynandem Goetlem. Często Wojtek przytaczał opinie o literaturze tego ostatniego. Powtarzał jego dictum, że dla pisarza autopsja nie była najważniejsza, bo przecież Szekspir nie był królem i że właściwą książkę o II wojnie światowej napisze prawdopodobnie ktoś z młodszego pokolenia, kto tej wojny nie zaznał. Obdarzony darem celnego słowa, był znakomitym gawędziarzem. Język znał świetnie, kochał muzykę i malarstwo. Pisał raczej mało i teksty swoje przetrzymywał do jakichś dogodniejszych czasów. W jednym z ostatnich listów donosił, że lekarze wreszcie postawili właściwą diagnozę jego choroby. Planował przejść na wcześniejszą emeryturę, aby pisać i

wydawać. Do dziennikarstwa przyłożył się z entuzjazmem i pracował lojalnie, ale myślał także o nauczaniu i napisaniu pracy doktorskiej. Mówił nawet o jej temacie, mieli to być angielscy aktorzy w Polsce w XVI wieku.

Pracując w Radiu Wolna Europa, trzymał rękę na pulsie sytuacji w Polsce z tragicznym epizodem stanu wojennego. Straszyło go widmo zadłużonej Polski i braku planu wyjścia z katastrofy gospodarczej. Na emigracji widział kurczenie się polskiej prasy kulturalnej i wymieranie ludzi ofiarnych i oddanych pracy społecznej. Choć w 1954 roku wyjechał z Anglii, interesował się pismami, z którymi współpracowałem. Były to czasy pierwszych prób nawiązania kontaktów z naszymi kolegami po piórze w Polsce. Spotkało się to z jego krytyką. Nieraz w listach wytykał nam młodzieńczą łatwowierność i ślepotę. Nawiązując do metafory, którą wybraliśmy do nazwania pierwszej antologii naszych wierszy „Ryby na piasku”, napisał:

> Zawsze… zarzucałem „Rybom na piasku”, że obojętnie płyną swoimi rzeczułkami, nie zważając na trzepotanie się w pobliżu innych rybek, złapanych w sieci przez totalistów. Czerniawski pisze, że Iwaniuk oskarża komunistów, a nie widzi niesprawiedliwości w Kanadzie. Przecież porównywanie jednego z drugim to wierutne głupstwo. No właśnie: to jest to, czego nigdy nie rozumiałem.

Gniatczyński miał dla poezji wielkie poważanie. W londyńskim „Pamiętniku Literackim” nazwał ją żywicą, wyciekającą z pękniętej kory. Pisał, że daremnie żądać od poety, by jego dzieło odzwierciedlało rzeczywistość, jak się tego obecnie wymaga.

> Poeta tak przystosowuje fakty i swoje doznania do dzieła i tak je przetwarza, że w końcu sam już nie rozpoznaje, co przeżył naprawdę, a co zmyślił, czyli przeżył w wyobraźni.

A te uczucia, które czytelnik znajduje w poezji, powiada, są niesprawdzalne i indywidualne. Interpretowanie poezji jest bardzo wątpliwym zajęciem. Krytykował polonistów także za to, że rzadko głoszą, iż sztuka, a więc także poezja, jest radością, a nie próbką do analizy. I daje przykład: „Ptaka, żeby naukowo zbadać, trzeba zabić. Podziwiać można tylko żywego”. Z Northropem Fryem zgodził się, że poeta dobiera słowa do słów.

> Wystarczającym, całkowitym i jedynym materiałem dowodowym dotyczącym intencji twórcy jest jego dzieło. Poezja usiłuje wyrazić niewypowiedziane, niewyrażalne. Jest nim.

Skłania się też do powrotu do myślenia magicznego, do przedracjonalnego, całościowego patrzenia na świat, bo nie opuściły one nigdy ani sfery poezji, ani języka religii. Wieloznaczność jest tu wielce pomocna, bo pochodzi z działania sił językowych. Poezja stwarza i staje się doświadczeniem, odwołując się do świadomości, a nie do intelektu. Poeta Gniatczyńskiego odkrywa nowe znaczenia i tworzy materię poezji, a wtedy jest to poezja prawdziwa i daje wszystko, odbiorca już nie potrzebuje niczego poza nią szukać.

Ale kiedyś w liście wyznał:

> Moim zdaniem w poezji nie ma miejsca na słowa dziwne, na popisywanie się leksykologiczne… prawdziwa poezja to poezja najprostsza – ale nie tą kłamaną prostotą Kasprowicza, tylko prostotą Mickiewicza… „Polały się łzy me" – to właśnie poezja.

Pierwszy tomik poezji „Próby", drukowany w Londynie w 1954 roku, zawiera wczesne wiersze, pisane we Włoszech, Irlandii i Londynie. Te debiutanckie teksty nacechowane są młodzieńczą melancholią, zastanowieniem nad dziwnością świata i złożonością życia. Wszak już wtedy poeta rozróżniał doświadczenia, jak choćby dymu. „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu" i dym inny. „Dym

śmierdzący, żółty – z krematorium”. Poznał też już obcość wielkiej metropolii, samotność, udrękę miłosną.

_____

Inny artykuł prof. Floriana Śmieji o Wojciechu Gniadczyńskim (1924-1985):

https://www.cultureave.com/klarnecista-z-auschwitz-wojciech-gniadczynski-1924-1985/

Bagaże literackie



Leszek Żuliński

Z Anną Marią Mickiewicz znam się od wielu lat. Jednak tylko na odległość, bo ona mieszkała w Kalifornii, a teraz w Londynie. Kontakt utrzymujemy.

Debiutowała tomem wierszy pt. *Dziewanna* w 1984 roku. Teraz nieustannie jest aktywna. Zabrakłoby mi tu miejsca, aby opisać jej niespożytą aktywność. Dodam jeszcze tylko, że jest członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (założonym w 1945 roku w Londynie).

Otrzymałem niedawno nową książkę Pani Mickiewicz, która –

cytuję:

> przedstawia sylwetki polskich pisarzy, między innymi: Ewy Lipskiej, Tadeusza Różewicza, Sławomira Mrożka, którzy odwiedzili Londyn oraz emigracyjnych: Krzysztofa Muszkowskiego, Krystyny Bednarczyk, Ireny Bączkowskiej.

Zwłaszcza ucieszyło mnie nazwisko Krystyny Bednarczykowej, ponieważ małżeństwo Państwa Czesława i Krystyny Bednarczyków (prowadzących przez lata Oficynę Poetów i Malarzy) znałem od lat i utrzymywałem z nimi kontakt. To była wspaniała para literacka.

Minęły lata… Bagaże literackie narastają i stąd ta książka. Znakomicie, że Pani Mickiewicz na nią wpadła, bo to ważna opowieść o polskich pisarzach za Wielką Wodą. No, niby do Wielkiej Brytanii jest mały skok, a warto, bo tamtejsza nasza enklawa to kawałek polskiej literatury.

Ten solidny tom ma pięć rozdziałów: *Sylwetki*, *Pisarze emigracyjni*, *Eseje*, *Varia* i *Dokąd zmierza literatura emigracyjna*. Dla nas – tutaj – najciekawsza może być ta ostatnia część. Dowiadujemy się, że powstała w Londynie strona internetowa Fale Literackie. To – cytuję:

> jest międzynarodowy ruch, zapoczątkowany w 2012 roku, który ma na celu wykreowanie przestrzeni, w której będzie możliwa wymiana idei, artystycznych inspiracji, która wesprze współczesnych polskich literatów w upowszechnieniu ich prac i osiągnięć artystycznych.

Cała ta polska enklawa jest niesamowicie zwarta i aktywna. Jak wiadomo, Polacy są porozrzucani po całym świecie, ale londyńskie skupisko przerasta wszystkie inne. Pani Mickiewicz to *spiritus movens*. Ona jest niesłychanie zaangażowana w konsolidację naszych literatów za granicą.

A więc mamy angielski, ale polski, ruch literacki. Rodziły się nawet różne a ważne wydarzenia, czasami pod auspicjami UNESCO.

Czytając tę książkę, aż nie mogłem uwierzyć, że jest tam „druga Polska literacka" – kulturowo zorganizowana i aktywna. Pisarze emigracyjni tworzą! To wielce piękne i poruszające – okazało się, że nie tylko „arbajt" jest naszą domeną.

Czytam:

> Ważnym elementem zmieniającym mapę literacką na

> emigracji było wstąpienie Polski do struktur Unii Europejskiej w 2014 roku. Do wielu krajów Europy napłynęły młode fale emigracyjne, a wraz z nimi twórcy, którzy zaczęli organizować własne struktury. Do najbardziej widocznych należała PoEzja Londyn założona przez Adama Siemieńczyka i Marię Siemieńczyk Brassart. Fale Literackie podjęły współpracę z PoEzją Londyn.

Miotam się tutaj z wyborem tego, co chciałbym jeszcze napisać. Ale nie sposób wszystkiego ogarnąć w tej recenzji. A piszę ją, bowiem tu, na miejscu, nie zdajemy sobie sprawy, że literatura polska przekroczyła aż tak polskie granice.

Ta książka jest bezcenną dla nas informacją o tym, że polska literatura jest i może być wszędzie. I nie jest ważne, że czasem uciekamy choćby za kanał La Manche lub za ocean – nasi emigranci są etykietą naszej kultury.

A na zakończenie chciałbym jeszcze przybliżyć Annę Marię Mickiewicz jako poetkę. Oto jej bardzo piękny wiersz pt. *Słoneczny dzień w Davis*. Oto on:

> Odchodzą na chmurach
>
> Wiosennie lekko niezauważalni aniołowie słów kilku

Białych słabych

Odchodzą z dużych białych kalifornijskich domów

Ogrodów nawadnianych sztuczną rosą

Odchodzą pokornie pochyleni

Dbający dobrzy ludzie małych miast

Podlewający na balkonach pelargonie w letnie dni

Gdy o chłód trudno nawet wieczorem

Odchodząc

Uścisną ręce pokiwają głowami zasmucą się

Odchodząc zostawiają widok Matki Boskiej na konarze drzewa

> Lękali się tego białego proszku który spadał ukradkiem na
>
> błyszczącą blachę samochodu.
>
> Tak im się wydawało…
>
> A może to my zaślepieni nie widzieliśmy tych znaków?
>
>
>
> Odchodzą



Anna Maria Mickiewicz, *Londyńskie bagaże literackie*, Publisher: Dreammee Little City, Orlando-Londyn 2019, s. 148

Wojna – Poezja – Dyplomacja. Nieznana poetka – Wanda Babińska.



Wanda Babińska

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

Druga wojna światowa burząc istniejący porządek świata, poplątała losy tych którzy przeżyli. Z przeszłości, jak z jaskini Ali Baby, ciągle wyłaniają się opowieści o ludziach wyjątkowych, nietuzinkowych, których życia dopełniają naszą wiedzę o czasie utraconym.

Gdyby została w Polsce, niewątpliwie stałaby się znana w kręgach literackich, tymczasem wojna zastała Wandę Babińską w

Hadze, gdzie jej ojciec, Wacław Babiński był posłem RP w Królestwie Holandii. Bieg wojny uczynił z niej emigrantkę tęskniącą za ojczyzną, której nigdy już miała nie ujrzeć. W „Poemacie wiosennym” wzdycha do polskiej wiosny:

> Jakże ja mam wyrazić i oddać słowami
>
> To uczucie, gdy drzewa szumią pod oknami.
>
> Nie tutaj, ale w kraju.

W wierszu „Mój ojciec” buduje portret ojca, smutnego emigranta:

> Przez całe swe życie marzył, że może kiedyś w końcu
>
> Przyjedzie na stałe do Polski, gdzieś na wsi odpocząć w słońcu.
>
> A teraz, teraz tak długo chodzi po gabinecie
>
> Mój ojciec, który ma oczy najsmutniejsze na świecie.

Urodzona w maju 1917 roku w Warszawie, w rodzinie inteligencko-szlacheckiej herbu Bojcza, Wanda Babińska wychowywana była na damę, kobietę światową, ozdobę elit dyplomatyczno-artystycznych. Po ukończeniu prywatnej szkoły sióstr zakonnych Sacre Coeur pod Poznaniem, w 1935 roku uczęszczała w Cambridge do szkoły panien z dobrych domów – English Finishing School. Była piękną, świadomą swego uroku kobietą. Miała osobowość aktorki reżyserującej życie swoje i innych. Odważna, walcząca o siebie, nieprzewidywalna i nierzadko ekstrawagancka, pasuje bardziej do dzisiejszych czasów. Poezja towarzyszyła jej od wczesnych lat życia. Ojciec i lektury czytane przez niego, ukształtowały w niej romantyczną, patriotyczną duszę. Pisała wiersze z niebywałą łatwością i lekkością, zindywidualizowanym językiem tworząc swój pamiętnik poetycki. W wierszach miłosnych, nastrojem i metaforyką czerpiących z poetyki młodopolskiej, opisywała emocjonalne wzloty i cierpienia. Wiersze patriotyczne, które pojawiły się po wybuchu wojny, przepojone miłością do ojczyzny, odwołują się do symboliki historycznej, tchną duchem romantyzmu.

> Granatów pękających huk i poświst spadającej bomby.
>
> Słyszysz li bracie złoty róg, czy grzmienie jerychońskiej trąby?

> Szumi ci w uszach – za Lwów, za Lwów – padasz w szeregu wśród Anglików.
>
> Nie żal ci życia, żal Ci snów, co pogrzebane są w Narwiku.

Dorobek poetycki Wandy Babińskiej nigdy nie został opublikowany. Gdy zmarła w Rzymie, w 1993 roku, walizka z jej dokumentami, zdjęciami, wycinkami z gazet i wierszami zapisanymi na pożółkłych kartkach, trafiła do Montrealu, do jej bratowej, Haliny Babińskiej. Od tej pory Wanda nie dawała spokoju Halinie. Była obecna w jej wspomnieniach, przypominała się przy różnych okazjach, opowieści o Wandzie i jej szaleństwach ubarwiały rozmowy towarzyskie toczone przy okazji spotkań w salonie Haliny. Młoda, piękna, żyjąca na nieustannie zmiennej amplitudzie emocji, zaręczała się i zrywała zaręczyny, wychodziła za mąż, by po kilku miesiącach uciec od męża, zakochiwała się nieustannie i opisywała ten stan w wierszach:

> Wszystko we mnie gra i śpiewa
>
> A za oknem kwitną drzewa
>
> Złotym blaskiem słońce pieści pomarańcze.

> Nocą niebo jest iskrzące i mrugają gwiazd tysiące.
>
> A na wodzie srebrny promień lekko tańczy.
>
> Cały świat się zgubił w dźwiękach – na klawiszach Twoja ręka.
>
> Miłość Ciebie na mych oczach położyła.
>
> Co mam robić z tą przeklętą – taką złą, a taką świętą?

W 1940 roku, dwudziestotrzyletnia Wanda przypłynęła polskim transatlantykiem „Batory" do Kanady. Bezdomna, jak wszyscy rozbitkowie wojenni, powoli i dzielnie zaczęła budować swoje nowe życie. Podjęła współpracę z prasą polską na wychodźstwie, publikując patriotyczne wiersze w londyńskim „Dzienniku Polskim" i „Tygodniku Polskim" w Nowym Jorku. Zaczęła pisać do gazet kanadyjskich: „Canadian Life" i „Monitor", w którym miała swoją rubrykę „Wondering with Wanda". W okresie, gdy mieszkała w Toronto, prowadziła swój program radiowy w radiu polonijnym. W Montrealu, w którym mieszkała najdłużej, przygotowywała bale, recytowała na akademiach patriotycznych, udzielała się w artystycznym i towarzyskim życiu polskim i kanadyjskim. W smutkach życia pocieszały ją wiersze:

> Rozdawaj uśmiech niby kwiat wśród życia smutnej drogi.
>
> A piękny wyda Ci się świat. Rozdawaj uśmiech niby kwiat.

Lata 40. i 50. to czas intensywnej, dojrzałej ekspresji poetyckiej. O ile wiersze miłosne pisane były do szuflady, to niektóre wiersze patriotyczne, wysłane do polskich gazet, przyniosły jej pochwały i zachwyty Kazimierza Wierzyńskiego i Jana Lechonia. Ten ostatni pasował ją na poetkę nazywając „naszą Safoną". W 1963 roku, narzekając na niekończące się zimy kanadyjskie, Wanda opuszcza Kanadę oraz swego drugiego męża. Wyjeżdża do Rzymu i pisze wiersz „Pożegnanie rymów":

> Rymy mojej młodości, rymy me dziecinne
>
> Wyskakujące łatwo z mej zapalonej głowy…
>
> Z wami się dzisiaj żegnam. Tak, jak z przyjacielem
>
> Z którym razem się rośnie, marzy, snuje plany.
>
> Z przyjacielem, któremu zawdzięcza się wiele
>
> Chwil szczęśliwych i bliskich. Który był kochany.

> W codziennym kieracie zajęć związanych z troską o życie tułacze –
>
> Odeszłyście.

Proza życia wyparła poezję, duch poezji, który rodził się w olśnieniu i radości, posmutniał z czasem. W Rzymie Wanda pisze felietony „Piórem kapitolińskiej gęsi” ukazujące się w polonijnej prasie i przeżywa spokojną, słoneczną jesień życia u boku trzeciego męża. Wiersze jej, jak motyle przekłute szpilką, zamknięte w walizce, powoli tracą barwy. Ten pamiętnik poetycki opowiadający o nietuzinkowej kobiecie, jest zarazem portretem osoby niezależnej, która chciała stanowić o sobie, ale trudno jej było się przebić przez stereotypowo wyznaczone role. Wydanie wierszy Wandy Babińskiej dopełniłoby jej życie i wzbogaciłoby literackie dziedzictwo polonii kanadyjskiej.



Przygotowania do spotkania poświęconego Wandzie Babińskiej w Konsulacie Generalnym RP w Montrealu, 6 lutego 2020 r. Od prawej: Halina Babińska (bratowa Wandy Babińskiej), dr Katarzyna Szrodt (prowadząca spotkanie) i aktorka Liliana Komorowska (recytująca wiersze poetki)

Spotkanie z Wisławą Szymborską



Wisława Szymborska, Kraków 1980 r., fot. Forum

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Zjawisko poetyckie Wisławy Szymborskiej nie wywarło na mnie właściwego wrażenia w odpowiednim czasie. Poetka nie jeździła za granicę zbyt chętnie, jej fama trafiła też na moją mniejszą mobilność. Spotkałem ją tylko raz w Krakowie, bodaj w 1991 roku, kiedy wstąpiłem do redakcji „Tygodnika Powszechnego" na ul. Wiślną.

Tam zastałem redaktora Jerzego Turowicza w towarzystwie poetki, która akurat wróciła z Niemiec z prestiżową

nagrodą Goethego. Wręczyłem jej wtedy emaliowany znaczek w formie kanadyjskiej flagi, który przyjęła.

Kiedy kilka lat później dostała nagrodę Nobla, przełożyłem dwa jej słynne wiersze na język hiszpański i zamieściłem w „El Universal", dawnym piśmie innego noblisty, Garcii Márqueza, w Cartagenie de Indias w Kolumbii, gdzie akurat bawiłem. Redakcja wydrukowała moje przekłady i dodała artykuł o Szymborskiej wraz z fotografią. Wysłałem Wisławie wycinki do Polski, a ona podziękowała mi na kartce z ryżym kotem, która dziś zdobi moje archiwum na Uniwersytecie Rzeszowskim.

Doczekałem się także jej dowcipnego, krótkiego omówienia mojego przekładu hiszpańskiego opowiadania „Historia Abindarraeza i pięknej Haryfy". Recenzentce widać bardziej by się podobała transkrypcja imienia bohaterki jako „Charifa", ale zauważyła, że Arabki częściej wolą pisać „Harifa". Szymborska wychwyciła niezręczność anonimowego autora noweli każącego bohaterce nie zauważyć ran ukochanego i konkludowała, że:

> bidula nie może nawet marzyć o światowej karierze miłośnicy, jaką zrobiła np. Izolda. Kto jak kto, ale Izolda już z odległości stu metrów zauważyłaby, że coś z jej Tristanem nie jest w porządku.

Myślą gonię do Macierzy

Irena Duchowska *(Wilno)*



Ma Ojczyzna

Ma Ojczyzna,

to –

krzyże przy drodze,

gniazda bocianie,

łany zbóż złocistych,

wierzby płaczące,

białe lilie w jeziorach,

lasy bogate w jagody i grzyby,

tęcza w deszczu srebrzystym,

stada żurawi na niebie,

kolorowe drzewa jesienią,

zaspy śnieżne zimą,

wieże kościołów wileńskich,

rodzina i bliscy,

swojska mowa…

Sny

Do swej wileńskiej

Ojczyzny

wracam w snach.

Widzę ojca na pasiece

otoczonego

głośnym rojem pszczół,

czuję aromat

kręconego w ogromnej centryfudze miodu,

niezapomniany zapach siana

w sadzie.

Przed domem

widzę mamusię

ścinającą kwiaty

dla księdza

do kościoła

rodzinnego gniazda,

źródła energii…

Tam dla mnie:

płakały brzozy,

obiecały zakwitnąć paprocie,

szumiał gaj za wygonem,

na kępie czerniały jagody,

okalały polankę poziomki,

lipy chroniły sad,

sadzawka lśniła od słońca,

skrzypiał żuraw przy studni,

wiosną klon dawał swój sok,

odurzająco pachniał jaśmin i bez,

za sadem, na Jana,

dzieliły swe grona kwiecia akacji,

brzęczały pszczoły z pasieki,

fruwał bociek nad łąką,

jeż z rodzinką mieszkał pod płotem,

mruczał kot tuląc się do nogi,

łasił się pies skowycząc radośnie…

Tam dla mnie

zawsze był ciepły kąt…

Już nigdzie

Już nigdzie więcej

nie będzie mi tak błogo,

jak w skromnym, rodzimym domu

na Wileńszczyźnie…

Już nigdzie więcej

nie zakwitnie mi morze kwiecia,

nie będzie takiej altanki

z dumnych georginii,

ani alei z tęczowych róż,

klombu mięty

przeplatanej pyszną konwalią,

bratków na wietrze

przypominających fruwających motyli…

Już nigdzie więcej

nie ujrzę nieba

utkanego z niezapominajek…

Już nigdzie więcej

nie odurzy mię tak silnie

zapach siana…

Już nigdzie więcej

nie będzie mi tak błogo!

Tęsknota

Goniona tęsknotą

wracam w rodzinne strony,

do źródła gejzerów ciepła,

którym kiedyś tchnął każdy kąt,

pod rozpostartymi

ramionami krzyża,

składam brzemię swych trosk,

by móc dalej iść…

Nostalgia

Uziemiona w centrum Litwy

Myślą gonię do Macierzy.

Stale muszę staczać bitwy,

Któż nostalgię moją zmierzy?

Trzeba walczyć o szacunek,

Orła dumnie w duszy nieść,

Dbać o Polski wizerunek,

Sercu Syna oddać cześć!

I jak żołnierz stać na warcie

Bez strachu szkody karierze,

Polskości broniąc zażarcie

Los mój Panu powierzę.



Irena Duchowska

Irena Duchowska (ur. 24 lipca 1955 w Słomiance) – urodzona i mieszkająca na Litwie polska poetka, pedagog, działaczka społeczna, wielokrotnie nagradzana za krzewienie języka oraz kultury polskiej na Litwie. Uhonorowana Srebrnym Krzyżem Zasługi RP za wybitne zasługi w propagowaniu kultury polskiej. (Wikipedia)

Szkoła po sąsiedzku



Tak wyglądały kiedyś klasy w szkołach, z tablicą, liczydłem, globusem i ławkami z otworami na kałamarze. Na zdjęciu zrekonstruowana klasa w Szkole Podstawowej w Pakosławiu, fot. ilza.com.pl

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Pierwszą moją nauczycielką była pani Leparska. Dojeżdżała z miasta. Starsza, korpulentna i bardzo zadbana pani. Zapamiętałem jej broszkę pokaźnych rozmiarów, pierścionki i bransolety na rękach. I manicure na jej paznokciach, które widziałem po raz pierwszy w życiu. Nosiła duży męski zegarek – chyba złoty. To ona uczyła pierwszych tabliczek mnożenia. Czytać to już umiałem przed pójściem do szkoły. Niedaleko naszego domu, na żwirowni, popisywałem się przed starszymi kolegami, czytając im po raz kolejny pouczającą historię o Janku,

co psom szył buty. Po dwóch latach mojej nauki pani Leparska przestała dojeżdżać. Zastąpił ją w 1959 roku Leonas Kurklenas, który wraz z żoną, też nauczycielką , przyjechał do Fabianiszek z głębi Litwy, by nas uczyć polskiego.

Przez cały czas istnienia szkoły była tu pani Teresa Fiodorowicz. Elegancka i bardzo piękna podobno w młodości kobieta. Mówiono, że jej narzeczony zginął w czasie wojny. Ale szczegółów nikt nie znał, tyle tylko, że był w Polskim Wojsku, w partyzantce. W tamtych czasach nie mówiono w AK. Pani Teresa długo nie mogła przeżyć śmierci ukochanego i nigdy nie wyszła za mąż, prowadziła samotny i zamknięty tryb życia. Miała w Wilnie brata, ale zażyłości między nimi nie było. Potem – szeptano – związała się z jakąś sektą. Na starość unikała ludzi: szybko przemykała od przystanku autobusowego do szkoły, gdzie na poddaszu – na salkach – od lat zamieszkiwała. Tak samo, niemal biegiem, udawała się do studni po wodę, czuła zażenowanie, kiedy ją się spotykało, nie pozwalała pomóc sobie i zanieść wiadra.

Wiele czasu poświęcała czytaniu. To ona była u nas jedyną prenumeratorką w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych takich czasopism, jak „Film” czy „Ekran”. Oczywiście, miała też „Przyjaciółkę”, a potem „Panoramę” – ale te pisma były bardziej znane, niektóre mieliśmy w domu.

Podkradaliśmy się czasem do jej czasopism. Po przeczytaniu pani Teresa składała je w stodole, która jako szkolna, nie dostała się kołchozowi. Choć była zamknięta na kłódkę, to przenikaliśmy z bratem do jej wnętrza przez liczne otwory. Czas spędzony w stodole obfitował w różne przygody. Penetrując jej zakamarki odkrywaliśmy wiele tajemnic, znajdowaliśmy tu czasem ciekawe rzeczy. Raz nawet trochę amunicji pod strzechą, którą wypróbowaliśmy w ognisku... Z czasopism pani Teresy wyrywaliśmy kartki ze słynnymi sportowcami i aktorami. Tu, w dziurawej stodole, z żurnali przebijał wielki świat.

Pani Teresa miała jeszcze jedną pasję, która graniczyła z obsesją. Lubiła czystość na szkolnym podwórku. Nie mogło tam być papierka, najmniejszej gałązeczki czy opadłego liścia, uporczywie walczyła z chwastami. Tego wymagała i od nas, co uważaliśmy za przesadę.

A ogródek był co się zowie! Upiększały go „szczepione" bzy i jaśminy, dzika róża, rosły najprzeróżniejsze kwiatki, w tym rzadkie w naszych stronach. Dróżki przy klombach były wysypane żółtym piaskiem, znaczone kamykami i tłuczoną cegłą, pobielonymi wapnem kamykami. Musieli też uczniowie pracować w szkolnym ogródku. Każdy miał swoje indywidualne grządki, o czym świadczyła stosowna tabliczka z nazwiskiem. Prócz warzyw najpospolitszych, takich jak marchew czy buraki, rosły tam bób, fasola i groch. W szczególny zachwyt przyprawiała uczniów

„czerwona kapusta” i arbuzy.

Jesienią ulubionym miejscem, gdzie się gromadzili uczniowie, była grusza, z drobnymi, ale bardzo smacznymi gruszkami. Jednakże zdobyć je było bardzo trudno – nauczyciele pozwalali zbierać owoce tylko z ziemi. Było tego niewiele – chyba, że rzuciło się w gruszę jakimś kijem, albo dobrze nią potrząsnęło. Trzeba było uważać, bo gdy zobaczył to nauczyciel, jedyny mężczyzna w szkole, to już on wtedy potrząsał uczniem.

Grusza stanowiła fragment przerzedzonego sadu. Rosły tam różne jabłonie od antonówek po rajskie jabłuszka, a także wiśnie, porzeczki, maliny i agrest. Sad, jak i budynek szkolny, przed wojną należał do brata mojego dziadka – Władysława. Jako najbardziej okazały w okolicy, sielsowiet* przeznaczył budynek właśnie na szkołę początkową. Nawet nie był to wariant najgorszy w latach, gdy oczodołami okien straszyły puste domy, zaś wywózki na Sybir, a potem w ramach tzw. repatriacji do Polski, nikogo nie dziwiły. Przez pewien czas ojciec miał pracę przy szkole – ni to stróża, ni to stolarza, taki sobie zawchoz**.

Nasz dom stał obok, więc nauki pobierałem po sąsiedzku.

– Już dzwonek, po przerwie śniadanie skończysz! – wołała matka. Wyruszałem więc przez podwórko prosto do klasy. Na górze właśnie mieszkała pani Teresa, obok niej mieszkanie

przydzielono przybyłym Kurklenasom. Kiedy szkołę likwidowano, pani Teresa była w wieku emerytalnym. Jeszcze rzadziej pokazywała się „na ludziach” i jeszcze bardziej zamykała się w sobie. Dziwaczka – z politowaniem pełnym szacunku mówiono o niej. Potem chorowała, przebywała w szpitalu, aż nie wróciła na swe nigdy nieremontowane i przeciekające poddasze.

Dziadek Władysław tylko jeden raz widział swój letniskowy dom (większość czasu spędzał w mieście), oddany pod szkołę, bo tylko raz przyjechał odwiedzić Wilno. Nie ciągnęło go jakoś. Był to człowiek zasługujący oddzielnej książki. Humorystyczno-sensancyjno-dramatycznej. Niedoszły ksiądz (zaliczył dwa lata seminarium), wytrawny esteta, a nade wszystko specjalista od interesów, miał w Wilnie knajpki, niedaleko Gazowni i na Mostowej, młyn i coś tam jeszcze. Potrafił wesoło spędzać czas, lubił w przednim towarzystwie pograć w karty. Ale wiedział z kim i kiedy skończyć – więc nie przegrywał i nieźle mu się w sumie wiodło.

Potem posiadłości zabrali Sowieci, a ich właściciel trafił na Syberię. Ale i tam sobie poradził. Z Syberii udał się wprost do Polski i osiadł w Szczecinie, w pięknej dzielnicy Pogodno. To od niego dostałem swój pierwszy w życiu wyzow*** i ze Szczecina rozpocząłem pierwszą i pełną przygód podróż dookoła Polski. Dziś dziwię się, jak mogłem objechać pół kraju – głównie autostopem – bez pieniędzy. Wtedy, bardziej niż dziś,

wiedziałem, czym może nie być dla mnie Polska.

Dziadek Władysław, szczupły, wręcz drobny mężczyzna, mimo chorowitego w młodości zdrowia, w Szczecinie dożył sędziwego wieku – zmarł mając 102 lata. Miał nadzwyczajną pamięć, nigdy go nie opuszczało wyrafinowane poczucie humoru. Sensacją w latach sześćdziesiątych było zamążpójście za Amerykanina jednej z jego córek, a mojej ciotki, i odpłynięcie własnym jachtem do nowego życia za ocean.

Po latach na zdziczałym skrawku ziemi, gdzie stał dom stryjecznego dziadka, gdzie pozostały też i resztki naszego sadu – jacyś Amerykanie w ostatnich przed rozbiórką domach pytali o Mieczkowskich. Ale zastraszony lud i o przytępionej pierwszymi ciosami przez dziki kapitalizm pamięci – nie mógł doradzić, jak nas odnaleźć. Do głowy mu nie przyszło, iż wystarczyło poszukujących odesłać do byle jakiej polskiej gazety czy organizacji. Ale na taki pomysł młodsze pokolenie byłych sąsiadów nie wpadło. Może dlatego, że to byli goście właśnie z Ameryki.

Przywołując moją pierwszą szkołę, nie mogę nie wspomnieć pewnej staruszki, która wprawdzie nauczycielką nie była, ale bardzo chciała nauczyć mnie francuskiego. Pewnie dlatego mówiła do mnie wyłącznie w tym języku. Otóż w naszym domu znalazła przytułek pani Buterlinowa, z dworu w Zameczku.

Była to zasuszona staruszka, którą wypędzono ze znacjonalizowanego majątku. Miała długi zakręcony kij. Bałem się go najwięcej, ponieważ kiedy byłem niesforny, usiłowała złapać mnie zaokrąglonym końcem owego kija. Pani Buterlinowa miewała zaniki pamięci, wyruszała w nagłe wędrówki i potem trzeba było ją szukać. W czasie jednej z nich zginęła w wypadku samochodowym.

Jej życie i śmierć przywodzi na myśl obecność w naszym domostwie poczciwego psa Wilka. Był to owczarek, którego zostawili cofający się Niemcy. Jakież niezwykle mądre było to stare jednookie psisko! Doskonale rozumiał nas – kiedy, na przykład, rodzina wyruszała do krewnych – biegł pierwszy i naszczekiwał. Był to znak, że niebawem pojawią się Mieczkowscy.

Wilk również odegrał znaczną rolę w moim wychowaniu – pilnował mnie, żebym nie oddalał się za daleko. Miał swoje lata, słabo widział, nie dosłyszał. Pewnego razu został również przejechany przez samochód. Potem mieliśmy wiele psów, ale żaden nie dorównał inteligencją i wiernością Wilkowi.

---

* *sielsowiet* (ros.) – rada wiejska

** *zawchoz* (ros. skr.) –odpowiedzialny ds. gospodarczych

*** *wyzow* (ros.) – popularna nazwa oficjalnego zaproszenia, na podstawie którego wydawano zezwolenie na odwiedzenie